

Czas melancholii – czasem przemian (transgresji) czy czasem destrukcji?

ABSTRACT. Tański Marek, *Czas melancholii – czasem przemian (transgresji) czy czasem destrukcji?* [The time of melancholy – time of transgression or time of destruction?]. „Przestrzenie Teorii” 7, Poznań 2007, Adam Mickiewicz University Press, pp. 65-74. ISBN 978-83-232177-2-5. ISSN 1644-6763.

The main objective of the article is to discuss the time of melancholy. The author tries to triangulate the definition of the time of melancholy with the classic Freud model, concentrating on the role of the back reflects in every activities, lower of feeling and the needs for a system of moral values, until to the self-assucusation and especially the expectation onto punishment. The starting point of this article has been organized in the model of the constantly repetition of the doubt, including the sceptical oneself-reflection, which does not onto no transgression (the characteristic point of the first stage). The time of melancholy (in the second stage) begins in to remind of the time of transgression, including the evaluating of internal area. To see the issue in a broad perspective, the author takes into account the relation between a man and his undertakings, such as: efforts to be a through man, free from the despair, abandonments of lost object and in necessity to retrieval of oneself.

Uwagi wstępne

Czy czas melancholii, oznaczający być może duchowy ciężar, jest jedynie związany z doznaniem bezruchu, bezprzedmiotowego smutku i bezsilności? Czy jest przejawem klinicznego przypadku odrętwienia, czy też kryje się za nim jakieś ukryte, głębokie egzystencjalne znaczenie? Czy też jest jedynie chwilą bez ekstazy niekiedy raz na zawsze utrwaloną w doświadczeniu jednostki? Czy ten czas zmienia i przetwarza nawet beznadziejność w jakąś spokojną niepamięć, pozwalającą nie odczuwać i nie doznawać niczego, co by przypominało uprzykrzone, wciąż powracające sprawy dnia powszedniego? Czy może przypomina zmarnowane lata, nieodwołalnie następujące poza jednostką, stracone, bo człowiek nawet o krok nie posunął się bliżej celu? Czy może jest sumą czasu minionego, albo sumą czasu przyszłego, wobec którego człowiek, by powetować to, co minione i zmarnowane w jakimś bezstaniu, ma zużyć go na zaczynanie od początku?

W celu rozstrzygnięcia powyższych pytań, przywołajmy znany już szeroko tekst Sørensa Kierkegaarda z *Albo – albo*.

Jednakże melancholia jest grzechem, właściwie grzechem instar omnium, albowiem jest grzechem nie chcieć z całej duszy swojej, nie pragnąć – to jest matką wszystkich grzechów¹.

Tekst ten na pierwszy rzut oka wydaje się korespondować z klasycznym modelem freudowskim, dla którego melancholia odzwierciedla zahamowanie wszelkiej aktywności, dojmujące przygnębienie, obniżenie poczucia wartości wyrażone poprzez samooskarżenia i oczekiwanie na karę (Freud). Jednakże poniżej Kierkegaard zauważa, że

jest to grzech, który ogarnął na przykład całe młode Niemcy i Francję. Nie chcę Ciebie rozjątrzać, oszczędzam Cię, jak mogę. Chętnie przyznam, że w pewnym sensie melancholia wcale nie świadczy źle o danym człowieku; na ogół bowiem ogarnia najbardziej uzdolnionych ludzi².

Poczucie winy, nienawiść do samego siebie, jakim się jest (co leży u podłoża melancholii), wynikające z dążności perfekcjonistycznej, a taką dążność pojmuje się jako coś absolutnego, najwyższego, są właściwościami wielu artystów, świętych. Są właściwościami wielu ludzi przekraczających własną naturę, dążących naprzód, widzących dalej i szerzej. Te perfekcjonistyczne (powiedzielibyśmy transgresyjne) cele, są stymulatorami owych wysiłków i istotnym składnikiem całej ich dynamiki wewnętrznej. Być może cele te, które wyzwalają transgresję, leżącą u podłoża ich wszystkich wysiłków, są skazane na nieosiągalność. Tym niemniej, ze względu na kryterium transgresyjności – nie możemy dezaprobować własnego, aktualnego ja oraz zespołu wymienionych nastrojów (fundujących melancholię), uważać za zły, terroryzujący jednostkę.

Praca melancholii, mówiąc najogólniej, ma polegać na przenoszeniu spotkania z samym sobą w sferę wyimaginowaną, bowiem rzeczywistość choćby dla ludzi twórczych jest tak przykra, iż artysta odcina się coraz bardziej od niej. Stosuje do własnego ja różnego rodzaju praktyki reparacyjne poprzez wypróbowanie własnych sił w realizacji różnego rodzaju ról wyimaginowanych, albo bezpośrednio odkrywa swoją jaźń w sobie samym, dzięki dziełu literackiemu oznajmującemu uniwersalną prawdę o życiu, prawdę zawartą w wielu troskach, cierpieniach, bólach rozwoju, ale też i radościach.

O pamięci słów kilka

Pamięć jest zasadniczym elementem czasu melancholijnego. W swojej istocie jest swego rodzaju powtórzeniem, powrotem fascynującej przeszłości. Ta przeszłość jest z kolei zwyczajną kolekcją, tkaniną, różnych

¹ S. Kierkegaard, *Albo – albo*, tłum. K. Toeplitz, tom II, Warszawa 1976, s. 254.

² Tamże, s. 254.

momentów zdradzających zapewne wielką słabość, ale i wielką siłę. Zarejestrowana przez nią chwila trwa i żyje ciągle, a wraz z nią istota, która w pamięci zostawiła swe odbicie. Ponadto rozproszkowanie tych różnych momentów, chwil obracających się wokół tej samej egzystencjalnej sytuacji, a stanowiących o czasie melancholijnym, jest słabszą lub mocniejszą wersją psychologicznej rekonstrukcji faktów, obrazów z przeszłości. Nie tylko przedłuża tym momentom, okrucinom pamięci żywotność, ale nawet ją zwielokrotnia.

Marcel Proust nawet nie zawaha się postawić znaku równości między istnieniem a pamięcią, pisząc:

Istniejemy tylko przez to, co posiadamy, a posiadamy tylko to, co rzeczywiście mamy przed sobą; jak wiele zatem naszych wspomnień, nastrojów, myśli opuszcza nas udając się w daleką podróż, gdy je tracimy z oczu! Nie możemy ich wówczas wliczać do sumy stanowiącej nasze istnienie. Mają one wszelako tajemne drogi, którymi do nas wracają³.

Przypomnienie przeszłości, jej powrót, jest wystarczającym powodem radości dla Narratora. Pamięć pozwala odkupić, wybawiając od śmierci, niebytu, to, co zostało skazane na zapomnienie. I w tym niewątpliwie tkwi jej natura transgresyjności. Narrator przestaje lękać się śmierci, a dzięki pamięci odzyskuje dla siebie nieistniejącą przeszłość. Czas przeszły, miniony, ale rozpamiętywany, a zatem fundowany na melancholii, bo utkany z różnych wspomnień np. obrazów Combray i Wenecji, zapachu magdalenki, śmierci babki i innych, nie zostaje utracony bezpowrotnie. Zostaje przerobiony na coś innego tak, iż Narrator ma poczucie, że otwiera się przed Nim coś nieuchwytnego. Obiekt pragnienia, wpisujący się teraz w dzieło literackie, ma się na nowo pojawić, zmaterializować i poddać się całkowicie wyobraźni Narratora.

Ale ten czas – w mniemaniu Narratora – zdaje się nieco negatywnie pobrzmiwać. Człowiek wobec nieubłaganego upływu czasu jest tylko jego przedmiotem, ofiarą. Odzwierciedla on jedynie przemijanie i bynajmniej nie stanowi o sensie radości Narratora. Dodajmy, pamięć fundująca ten czas, ma ograniczoną zdolność inwencji, można by nawet rzec – bardzo skromną, bo wyznaczoną różnymi sprzecznymi emocjami. Nie jest ona w stanie pragnąć czegoś innego, często lepszego niż to, co człowiek posiadał. Ponadto ma naturę iluzji, wobec czego stanu, którego pożąda, nie może zdobyć. I wreszcie, gdy się odnosi do obiektu, który zdążył się już zdematerializować, pamięć dokonuje aktu wskrzeszającego. Obiekt ów budzi nie tyle potrzebę kochania, co pragnienie przestawiania z nim.

³ M. Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, tłum. M. Żurowski, tom VI, Warszawa 1992, s. 75.

Ale wówczas straciłby swą dokładność, gdyby właśnie nie uwzględnił jednej z ważniejszych jego postaci – zapomnienia:

– zapomnienia, którego siłę już czułem i które stanowi tak potężne narzędzie w przystosowaniu się do rzeczywistości, ponieważ stopniowo unicestwia jeszcze w nas żywą przeszłość, pierwiastek zawsze sprzeczny z jego istotą⁴.

Melancholia jako jedna z praktyk odrealniania⁵

Można by rzec, iż w tej o to fazie, czas melancholijny można wartościować tylko negatywnie. Jaźń nie umie przeorientować swojego istnienia, bowiem wszystkie działania konstytuujące ją mieszają zachowania związane z zatrzymywaniem przeszłości, obciążonej egzystencjalną winą, z działaniami skierowanymi na przyszłość. Człowiek pozostawiony samemu sobie w tym czasie staje się bezbronny wobec niszczącej, rujnującej go siły. Zdaje się funkcjonować bez możliwości tworzenia, pracy, jakiegokolwiek wewnętrznej spalającej wrzawy, a nawet bez możliwości oparcia się na samym sobie. Brak zmiany, a także unicestwienie wszelkiego ruchu powoduje, iż to, co ograniczone, skończone, względne, a co wpisuje się w działanie pamięci, która z natury jest melancholijna, zostaje zakłócone. Dewizą jaźni staje się wówczas hamletowskie „zasnąć i umrzeć”, po prostu rozpląnąć się w pustce życia, dodajmy: tej nie ekstatycznej chwili, która staje się mroczną wiecznością. Jest bez znaczenia, bo nic się nie dzieje. Jego egzystencjalna sytuacja przypomina bezstan, ciągle powtórzenie wątplenia, sceptycznej autorefleksji, która nie sili się na żadną transgresję (przekroczenie swojego stanu), lecz tylko powtarza chwilę poprzednią. Stare pokłady agresji bez przerwy wznoszą się ku powierzchni świadomości, tak, iż nawet ciężka zasłona przyzwyczajenia będąca jedynie w tym przypadku otępiająca siłą własnego powstrzymywania ukrywa przed człowiekiem cały świat w jego kolorowej różnorodności. W ciemnej nocy owego bezstanu podsuwa niebezpieczne i najbardziej upajające trucizny życia, będące substancjami szkodliwymi dla ducha i bynajmniej nie sprawiające mu przyjemności.

Życie wewnętrzne ogarnięte tym czasem przypomina smutek urzeczywistnionej baśni. Być może marzenia człowieka urzeczywistniły się, ale bynajmniej nie jest to powodem do radości. Człowiek po prostu prześląknięty sceptyczną autorefleksją, zamykającą go w samym sobie, czuje dojmujący bezsens własnej egzystencji, nie widząc głębiej treści własnego życia. Ten ciemny podskórny pejzaż, jaki dopełnia jego jaźń, zostaje

⁴ M. Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, s. 75.

⁵ M. Bieńczyk, *Melancholia. O tych, co nigdy nie odnajdą straty*, Warszawa 2000, s. 114.

przecież skomponowany wedle własnych życzeń, zasad, utkanych z odzucenia czasu przeszłego. To właśnie on sprawia, powodowany bezruchem czasu melancholijnego, że owe pryncypia dla wszystkich działań zostają zamrożone i uwewnętrznione na wszystkich poziomach aktywności. I cokolwiek człowiek starałby się czynić, nie może się owych pryncypiów wyzbyć, bowiem albo nie potrafi albo po prostu nie chce zmagać się z nimi.

Życie wewnętrzne przestaje być wówczas terenem wewnętrznego ruchu. Powstają w nim obszary, które ruch skojarzeń, myśli, namiętności omija. Jakkolwiek być może wcześniej były „przegrzane”, bo spalała je gorączka sytuacji, miejsc i osób, to teraz wydają się być one mocno wychłodzone. Wypełniają je zamrożone przeżycia, ale także autonarracje przesiąknięte sceptyczną, pełną wątpienia, nihilistyczną autorefleksją, jak chociażby retoryka pana Compsona z powieści W. Faulknera *Absalomie, Absalomie*. Dodajmy, jego sprawozdanie w przeciwieństwie do narracji panny Rosy, której z kolei retoryka wydaje się być wolna od wątpienia, wskazuje, iż myśl pana Compsona stanowiąca niedokładną opowieść o Sutpenach, zaplątuje się w jakichś ciemnych rejonach. I nie może oddalić się od owego „ciemnego rozrzedzenia czasu”:

To wprost nie do wiary. To się wprost nie da wytłumaczyć. Albo może tak było rzeczywiście: oni nam tego nie tłumaczą i nie chcą, żebyśmy wiedzieli. Jakże mgliście widzimy teraz tych ludzi, w których krwi i nasieniu myśmy sami leżeli niegdyś we śnie, czekając – tych ludzi, którzy teraz w tym cienistym rozrzedzeniu czasu krzepną monumentalnie bohaterscy przy dokonywaniu dawnych swoich czynów prostej namiętności i prostego gwałtu – tych ludzi odpornych na czas i niewytłumaczalnych. Otóż to: Judith, Bon, Henry, Sutpen – oni wszyscy. Oto oni, a przecież czegoś tu brak; są jak wzór chemiczny, ekshumowany z owej zapomnianej komody – ekshumowany starannie, bo papier jest stary i pożółkły, i już się rozpada: pismo wyblakłe, prawie nie do odczytania, a jednak pełne znaczenia, dobrze znane z kształtu liter i treści, więc możemy odcyfrować symbole lotnych i wrażliwych sił; zestawiamy je razem we właściwych proporcjach, ale nic się nie dzieje; odczytujemy je ponownie, wpatrując się zmuennie, w skupieniu, żeby się upewnić, czy o czymś nie zapomnieliśmy, czyśmy nie zrobili żadnego błędu w obliczeniach; i znów zestawiamy je razem i znów nic się nie dzieje: widzimy tylko te słowa, te symbole, same kształty, cienie kształtów nieodgadnione i pogodne na rozdętym tle straszliwego krwawego niepowodzenia ludzkich spraw⁶.

Czas melancholii – czasem metamorfozy (transgresji)

Ale w drugiej fazie melancholia nie jawi się już jako stan, w którym kumuluje się apatia, znużenie, bezruch, po to by odebrać żywotność świadomości, po to, by jeszcze bardziej osłabić i tak już rozczłonkowany

⁶ W. Faulkner, *Absalomie, Absalomie*, przeł. Z. Kierszys, Warszawa 1966, s. 111.

podmiot. Melancholia zaczyna mieć pozytywne znaczenie, bowiem przybierając postać już nie ociążającej refleksji, staje się wyrazem szacunku wobec złożoności świata⁷. Podmiot nie ma już takich łatwych odpowiedzi, wyraża zgodę na konieczność znalezienia się w strukturach, które nie do końca są odzwierciedleniem jego zamysłów, planów, przesądzeń.

Podmiot coraz bardziej zdaje się być świadomy, iż nie może oczekiwać od rzeczywistości pełnej jednoznaczności, jasnych, klarownych odpowiedzi na jego zapotrzebowania. Stąd też w owym czasie melancholii, który mówiąc po freudowsku jest zwiastunem identyfikacji ego z utraconym obiektem, dochodzi do pogłębionej refleksji. Wyraża się ona w przekonaniu, iż człowiek – już i tak osłabiony różnymi wewnętrznymi napięciami – nie jest do otaczającej go rzeczywistości doskonale dopasowany. Ta refleksyjność jest – tak ją nazwijmy – nieokreślonością pozytywną w przeciwieństwie do pierwszej fazy melancholii, w której raczej dochodzi do zatarcia sensów i rzeczy. Tutaj wręcz przeciwnie – w owym czasie podmiot zaczyna widzieć pojedyncze, poszczególne obiekty i chwyta bezpośrednio ich istotę, łącząc widzialne z niewidzialnym, materialne, zmysłowe z duchowym. Nie może stracić przedmiotu, obiektu z pola swego widzenia w jakąś bezkresną nieobecność, nad którą władzę sprawuje tylko mrok. I tak, w pierwszej fazie melancholii, człowiek ma tendencję, albo lepiej – skłonność do spoglądania na siebie i na innych jako na niebyt, stratę, na coś, co pozostaje poza jego zasięgiem –

tak, że czas każe nam powoli zapominać to i zapomnienie wywiera pewien wpływ na pojęcie czasu. Złudzenia optyczne istnieją w czasie podobnie jak i w przestrzeni. W chwili obecnej zapomnienie tyłu rzeczy oddzielało mnie rejonami pustki od faktów całkiem świeżych, które wydawały się dawne, ponieważ – jak to się mówi – miałem „czas” zapomnieć o nich, i owo zapomnienie rozrzucone w postaci interpolowanej, fragmentarycznej, nieregularnej pośród mojej pamięci, niby gęsta mgła nad oceanem, która kryje wszystkie punkty orientacyjne, mąciło, zakłócało moje poczucie miejsca w czasie, to skracając, to znowu rozciągając odległości, i często miałem wrażenie, że jestem albo dużo dalej od czegoś, albo dużo bliżej, niż było naprawdę⁸.

Tak w drugiej fazie nie ma już owej perspektywy rozproszenia, zamazania, fragmentaryzacji, ale pojawia się rzeczywistość stabilna i esencjonalna. Upływ czasu w tej fazie, wraz z fragmentami życia podmiotu, nie może być traktowany na zasadzie przesuwania się filmowej taśmy, nie da się bowiem zredukować do jednego prostego wzorca. Zaznaczająca się wieloznaczność owego wewnętrznego świata, zanurzonego w tym nie-

⁷ A. Bielik-Robson, *Inna nowoczesność. Pytania o współczesną formułę duchowości*, Kraków 2000, s. 80-83; P. Dybel, *Urwane ścieżki. Przybyszewski – Freud – Lacan*, Kraków 2000, s. 116-123.

⁸ M. Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, s. 179.

zwykłym czasie, jest próbą zbliżenia się do rzeczywistości, do otwarcia się na nią – na taką, jaką jest w całej swej różnorodności.

Widoczny zatem staje się związek między życiem, doświadczeniem indywidualnym a obrazami, pamięcią. Istotne z kolei dla tych obrazów jest pojawianie się, ów ruch, a nie bezruch, następowanie jednych rzeczy po drugich, czy nawet wzajemne przepędzanie się różnych fragmentów doświadczenia egzystencjalnego. Człowiek nawet w sytuacji nadmiernej zmęczenia lub wyczerpania albo też odprężenia pozwala się im prze-wijać, bowiem jak już wcześniej wskazałem, ich istota leży w ciągłym ruchu, dynamice.

Ale można wskazać, iż czas melancholijny nie jest jedynie grą obrazów. Następstwo owych obrazów może być następstwem dla świadomości, która poza nie w jakiś sposób wykracza i która zdaje się modelować ciągle doświadczenie niepokojącej obecności wnętrza uczuć. Do końca człowiek nie może poznać, zrozumieć, rozszyfrować owego świata uczuć, bowiem nie ma do niego jednego klucza, jednej najlepszej interpretacji, nawet gdyby zawierała najspójniejszą narrację.

Cóż jednak z tego, że bywamy świadomi naszych stanów uczuciowych, jak ja wtedy właśnie, przekonany, że rozumiem przyczynę swojej melancholii – nie umiemy dotrzeć do ich głębszego znaczenia. Jak w tych chorobach, kiedy lekarz wysłuchuje zwierzeń pacjenta, by za ich pomocą dotrzeć do przyczyn bardziej rzeczywistych, nie znanych choremu, tak samo nasze stany uczuciowe, nasze myśli mają tylko wartość symptomów⁹.

Uczucia i fantazje zagnieżdżają się w człowieku i rozrastają samowolnie. A to, dzięki czemu mogą swobodnie funkcjonować, pomimo wewnętrznych pęknięć, słabych miejsc, sprzeczności w obrębie świadomości – to czas melancholii z całym swoim wewnętrznym bogactwem. Życie wewnętrzne można wówczas cenić jako sferę subtelną, daleką od banału życia zewnętrznego, który zna jedną tylko interpretację, do którego stosuje się jeden klucz.

Reasumując, człowiek stoi przed dylematem, który poniekąd dyktuje mu wpływający czas, często wskazując mu konieczność wykuwania sobie niepewnej drogi poprzez intensywne doświadczanie świata. Albo uzyska pełnię samego siebie, poprzez akceptację zmiennych i niepewnych odbłasków ziemi, albo będzie starał się uciec przed samym sobą w stany apatii, znużenia, hamując tym samym swój jakikolwiek pęd do życia. Gdy nie uzyska swej pełni, gdy skoncentruje się na przypadkowych zewnętrznych odpryskach, przejawach, domysłach, człowiek może doświadczać siebie jako zięjącej nieznośnej pustki, przed którą nawet nie stara

⁹ M. Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, tom VI, s. 146.

się uciec. Melancholia w pierwszej fazie wiąże się nie tylko z bezczynnością, ale wewnętrzną ruiną. W tym czasie może również dojść do nieoczekiwanego zahamowania emocji, nastrojów, później do ich nagłego stężenia. Dochodzi wówczas być może do nietrwałego uszkodzenia, albo do powstania nowej, trwałej konstrukcji, która nadawać będzie kształt magmowatej masie wrażeń, a którą Scheler nazwie resentymentem. Ów resentyment jako duchowe samozatrucie, trwałe nastawienie psychiczne, w których określone odruchy uczuciowe i namiętności ulegają stłumieniu powoduje, iż zdarzenia wynurzające się z głębi pamięci będą odnosić się do owego zatrutego centrum.

Czas melancholijny stara się z kolei wybiegać w pewne zaledwie przeczuwane zaświaty, w jakąś dostrzegalną dal, która nie jest bynajmniej doświadczeniem owego „gdzie indziej” pierwszej fazy. Wskazuje zatem na coś całkiem nieobcego, a nawet bliskiego Kierkegaardowskiej przemianie, zapoczątkowanej ideą transgresji (przerwania własnej skończoności), osiągającą pełnię w autentycznym przeżytych doświadczeniu melancholii. „Ludzie, którym melancholia jest zupełnie obca, to tacy, których dusza nie ma nawet pojęcia o metamorfozie”¹⁰. Czas ten zdaje się wychodzić poza wszelkie przestrzenne różnice między „tu” a „gdzie indziej” a owa dal, już nie tak bezkresna i bezkształtna, jak wcześniej, ukazuje nam ów duchowy pejzaż, który żyje w człowieku, działa, pracuje, zmienia się. Zatem dokonuje ciągłych, często nawet niewidocznych gołym okiem transgresji. Obszar ten wydaje się być właśnie zabarwiony melancholią, dzięki której człowiek pragnie odnaleźć „stratę” i zarazem nie jest zbyt skupiony na własnych pragnieniach. Musi odnaleźć się w życiu człowieka miejsce na wewnętrzne sztormy, kataklizmy gwałtownych przepływów, które choć powodują zniszczenia, także mają moc unoszenia go i wyrwania z marazmu zastygnięcia w dotyku ziemi. Owe wewnętrzne kataklizmy zmuszają go do wysiłku zorganizowania na nowo. Położenie człowieka, który uświadamia sobie, że nie przystaje do swojego „teraz”, przypomina ów wartki ruch, w którym być może powstają wyrwy i zniszczenia, oznaczające często zdarzenia graniczne.

Ponadto czas melancholijny zapowiada wędrówkę, natomiast status zanurzonej w nim jednostki będzie określało pielgrzymowanie. Ów pielgrzym pragnie zdobyć obszar poprzez poszukiwanie, które z kolei musi odbywać się we właściwym dla niego czasie. Najczęściej to poszukiwanie wyznaczone zostaje przyszłością, która z kolei staje się niezmiernie pociągająca nie tyle poprzez swoją nowość, ale poprzez to, że przyszłość nie odrzuca, a wręcz przeciwnie – jakoś tajemniczo łączy się z najodleglejszą przeszłością. Przyszłość umie uszanować surowy, kamienny pejzaż dzie-

¹⁰ S. Kierkegaard, *Albo – albo*, s. 255.

jów, który budzi w człowieku respekt czy nawet przerażenie. Ślady pozostałe po przodkach czyta ów pielgrzym jak kamienne tablice, na których zapisano coś ważnego. Widoczne przejawy życia powodują, że te znaki, imponujące dla żywotności ducha, odnoszą się do jednostki, do jej przyszłości. Żywa tkanka, jaką stanowi człowiek, nakierowuje się na przyszłość, zaczyna coraz bardziej przystawać do tej nabrzmiałej przeszłością drogi, do tej imponującej konstrukcji, cierpliwie wypracowywanej przez wieki. Przeszłość i przyszłość w tym osobliwym czasie spotykają się ze sobą tak, iż obejmują się wzajemnie w pewnym obszarze, który staje się wiecznym „absolutnym tutaj”.

Ciężar, który staje się nośnikiem tego czasu, w jakim przeszłość splata się z przyszłością, zdaje się być czymś pozytywnym. Jest to główny motyw rozważań Milana Kundera w książce *Niežnośna lekkość bytu*, która to książka w sposób istotny wpisuje się w refleksję nad dziedzictwem historii, czasu, a zarazem nad losami ponowoczesnego bohatera. Cóż mamy wybrać, ciężar czy lekkość – zapytuje Kundera, który zauważa, iż od czasu Parmenidesa, podział ten na dwa bieguny był dosyć czytelny¹¹. I tak, gdy jeden biegun, obejmujący to, co lekkie, a zarazem terazniejsze i przyszłe był pozytywny, tak drugi raczej przypominał o zagrożeniu jednostki przez różnorodną opresję. Przeszłość jawiła się jako negatywny ciężar, a surowy pejzaż dziejów, czasu przeszłego – melancholijnego, oznaczałby brak jakichkolwiek przejawów życia. Również i to, co by składało się na ten ciężar – jak go określa Kundera – nieżnośnej odpowiedzialności, a wypełnione byłoby: uporem, trawieniem tożsamości, przeszłością, oznaczałoby demoralizującą nudę. Jednakże podział ten – wydaje się ukrytą redukcją egzystencjalnych losów jednostki do zbyt przedwczesnych rozstrzygnięć aksjologicznych. Lekkość, odcinająca się od brzemienia przeszłości, sprawia, iż człowiek w nagłym porywie¹² oddala się od ziemskiego bytowania – staje się na wpół rzeczywista. Lekkość, która ma przynieść wolność, wraz ze swoją dynamiką, okazuje się trudna do zniesienia. Z kolei świadomość brzemienia lekkości, nieprzytomnego, czy pozbawionego głębszego namysłu nad przeszłością, świadczyc może o powrocie do zasady rzeczywistości, w której funkcjonuje respekt wobec pamięci, nostalgii i innych ważnych doświadczeń egzystencjalnych. Ciężar przeszłości, a z nim także ciężar odpowiedzialności raz powziętej decyzji, być może z początku represyjny, otwiera perspektywę lekkości i stanowi o wymiarze przekraczania samego siebie.

¹¹ M. Kundera, *Niežnośna lekkość bytu*, tłum. A. Holland, Warszawa 2004, s. 7.

¹² Nie tak, jak chce Kundera – ekstazy, ale euforii.

Uwagi końcowe

Podsumujmy zatem nasze dotychczasowe rozważania. Czas melancholii, który w drugiej fazie zaczyna przypominać czas transgresji, sprawia, iż człowiek odnajduje samego siebie. W swoim życiu wewnętrznym podejmuje takie wysiłki, które są wolne już od rozpacz, porzucenia utraconego obiektu, od straty czegoś lub kogoś. Przewartościowanie dotychczasowego obszaru wewnętrznego powoduje, iż kluczem transgresji, owego czasu, staje się świadomość *gravitas*, wpisanej w naszą przygodność, na którą to składają się m.in.: pamięć, nawyki, przyzwyczajenia. Być może owo brzemie przygniata, powala, przyciska do ziemi. Człowiek pod nim niejednokrotnie upada, ale czas, w którym się to dzieje, nie jest czasem wewnętrznej rozpacz. Nie przypomina czasu zamkniętego, w którym człowiek niczego przed sobą nie widzi i od nikogo nie oczekuje. Nie jest też czasem zamkniętym w kręgu nawyków, przyzwyczajień owej *gravitas*, w kręgu codziennych obowiązków.